

826/749 wmp

J. S. POBRATYMIEC
MONOLOGI
VII.



Pan Przyciór ma głos!
Panna Trzepaczanka.
Zdychający Nieboraczek.
Nieszczęścia pani Fajgli.

POZNAŃ
Nakładem księgarni A. Cybulskiego
1928
Drukarnia „Dziennika Poznańskiego” T. A.

A. CYBULSKI, Księgarnia w Poznaniu

poleca nadto:

- Chociszewski.** Koszałki Opalki. —,40 zł
„ Pół kopy wesołych opowiadań —,40 zł
Pobratymiec J. S. Baraszkii... Garść zabawnych facecji, żartów itd. 1,10 zł
Pobratymiec J. S. Monologi, Serja po — 40 zł
ser. I. Pan Organista na godach weselnych. — Przygoda miłosna pana Sterna. — Miła żonka. — To dla męża. — W karczmie.
„ II. Wrażenia z wystawy Lwowskiej. (Opowiadanie Maćka Druzgały). — Oj te studenty! — Furimbal z awanture. podsłuchał Adolf Kitschman. — Co najprzyjemniejsze?
„ III. Sobek Mastela u „męczynosa“. — Zakochany Mojsze Lewi. — Moja żoneczka. — Szczęśliwy. — Oświadczenie miłości.
„ IV. Sabałowagadka. — Obywatel Przyszczypkiewicz. — Czarne okoliczności. — Złościca.
„ V. Ja tagży bułem w Sokołach. — Gabinet osobliwości i Zwierzyniec. — „Wyczatowanie“. — Owacja. — Bajeczka Nie Jachowicza.
„ VI. „Dyferencyjo“. — Pechowlec. — Ognisko domowe. — Chczało sze Rytke jagódek.

J. S. POBRATYMIEC
MONOLOGI
VII.



Pan Przyciór ma głos!
Panna Trzepaczanka.
Zdychający Nieboraczek.
Nieszczęścia pani Fajgli.

POZNAŃ
Nakładem księgarni A. Cybulskiego
1928
Drukarnia „Dziennika Poznańskiego” T. A.

168565
T
VII
K-19/8261
3.8! 60, (T.5,7)

A. Cybulski, Księgarnia w Poznaniu

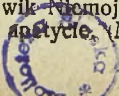
poleca nadto:

Raklety. Garść humoru; w tem Monolog Klemensa Junoszy „Icek kobieciarz“, z ilustracją. —, 50 zł

Scena Polska. 8. Monologi I. . . . 2,— zł

1. Antek-Burżuj (Krogulec). — 2. Dlaczego Jankiel nie wziął Sury? (Prawie autentyczne) (M. Igdalek). — 3. Optymista — 4. Jacenty (Monolog stróża) Artur Zawadzki). — 5. Pani Pipermenth na wodach w Clechocinku. (Klemens Junosza). — 6. Kałamarzewki. — 7. Felczer w małym miasteczku. — 8. Pan mecenas w Rypinie (Artur Zawadzki). — 9. Grymasy. — 10. Josel Rajszower, afiszier (Gustaw Fliszer). — 11. Niech no wezmę „Towarzystwo“ (Monolog pana Jacka) (Nie-Jadam). — 12. Trzech Nie-Budrysów (Bałada Nie-Mickiewicza) (Artur Gliszczyński). — 13. Stary kawaler. — 14. Kujawiak (F-o). — 15. Zaklęcia dziewczyny.

Scena Polska. 9. Monologi. II. . . . 2,— zł

1. Kobieta. (DIALOG p. Grenet Dancourta). — 2. Icek Feinkind rekrutem (Artur Zawadzki). — 3. Marcin Badył przed sądem gminnym (Klemens Junosza) — 4. Moje kieszenie. — 5. Z pamiętników frotera. (Paul de Coś). — 6. Rower i żona. (Fortunio). — 7. Mały totalizator (Fortunio). — 8. Jegomość w czarnym fraku. — 9. Nic nie było (Adek). — 10. Przeprowadzka. (Leon Choromański). — 11. Pan Izidor Klepfisz na raucie u siebie (Paul de Coś). — 12. Monolog chłopca z gazetami. — 13. Powrót z wyprawy albo Trzy synowe. (Kamerton). — 14. Dziewicze marzenia. (Ludwik Niemojowski), — 15. Nie jestem przy apetycie. (Michał Rodoć).
- 

Pan Przyciór ma głos!

(Na scenę wchodzi dwóch kumotrów. Jeden „poletyk“ w okularach na czole, a za nim przyjaciel z ogromnym parasolem pod pachą. Obaj, patrząc do góry, wyciągają ręce przed siebie, chcąc sprawdzić, czy deszcz nie zaczyna padać.)

Pierwszy: — Pyrscy¹⁾? — e! cheba nie pyrscy! nie pyrscy!

Drugi: *(po chwili)* — Mnie sie widzi, że kapke romoli.²⁾

Pierwszy: Aha! — rzeczywiście. Kapła mi krapla na nos. — No! to rozłóćcie, kumotrze, parasol!

(Towarzysz roztwiera deszczochron nad głową Przyciora, podczas gdy ten zdejmuje kapelusz z głowy, kładzie go przed siebie na stole, ponad okulary rozgląda się po tłumie i, naciągając członki u rąk, trzaska palcami.)

Gdy się uciszono, rozpoczyna przemawiać.)

Szanowne zgromadzenie! *(zwracając się w drugą stronę)* Obywatele i obywatelki! Narodzie!

¹⁾ ²⁾ — drobno rosi.

Przypuszczony przez paa przewodni-
czącego do głosu, niechże i jo wypowiem
tutoj słów pore. Po pierwsze: (*łapiąc się
za głowę, krzyczy w stronę kumotra*) Ku-
motrze! dziubiecie mnie po głowie! (*kumo-
ter podnosi parasol wyżej, mówca głaszcze
się po włosach*) Boleścią jestem cały prze-
pełniony i aż mną frybra trzepie, jak se
wspomnę, jakich noród nasz doczekoł się
czasów. — Hej! miły, mocny Boże! stę-
kaliśmy nieroz mordyjańsko, gdy nom ból
kiszkaami kręcił, ale teraz dopiero naprow-
dę stękać nom wypodo, więc jeżeli stę-
kę, to nie dziwnego, bo — (*w stronę
kumotra*) Po głowie mnie furt dziubiecie!
(*towarzysz przekłada parasol do drugiej
ręki*) Bo proszę szanownych obywateli
i obywatelki, bo proszę szanownego noro-
du, czy to nie cholera na kiszki te prze-
okropne podotki i opłaty, jakie rząd ciągle
wymyśla? — Te jakiesik patentowe, to
przemysłowe, to grontowe, to od rucho-
mego, to od nieruchomego, to od lokalu,
od zorobku, od majątku, od powietrza,
głodu, moru, ognia i wojny! a żeby ich jasne
pierony!! — Bo prosze państwa, czy to

rząd nie mógłby więcej narobić pieniędzy, a podatki roz znieść na wieki wieków amen?! — czy to nie mo na tele papieru, żeby go nadrukował i nastrzygł, i już roz zaniechoł tego szarpania obywateli za kiszki?! — *Proszę mi nie przerywać! Jo wiem co godom! (łapie się za głowę) Do cholery ciężkiej, kumotrze! dziubiecie mnie po głowie!* — Ale nie o tem jeszcze chcę rzec. Jako praktyk, któren nie z jednego pieca jod chleb.... *Aha! żeby se nie xapomnioł!* Czemu ten chleb taki drogi? — zapytuję się was norodu? — dloczego takie bułki małe? *Proszę mi nie przerywać!* Jo wiem, bo siedziołem tam w tej głupiej konwisji cennikowej i jak my się utkli na bułkach, to psiekrwie piekorze zrobili gwołt i zaczyni jojczeć, że to Sodoma Gomora. — A żeby to jasne plerony! — A gdzie tu deferencyjo? — Otoż w tem, bo pani piekarka musi sie ubrać w jedbowie, jak idzie do kościoła na prymarje, a córki muszą sobie perfunami kropić swoje specjoły, coby woniały o milę, i turlikać na grajmonofonach, zamiast pracować w pocie czoła na kawolek chleba. — Jobym ci

zagroł na grajfonie, ożbyś usiedzieć nie mogła! *Kumoter! parasol w górę! bo wos udre w ciakę!* (wpadając w coraz wleńszy ferwor) Jeden z tych skrobidesek, co takż zasiadoł w tej konwisyji, chycił się naszego misa i zaczął psioczyć, że bydle tanie, a mięso drogie! — A czy ty wiesz, pieronie, że jo za cieleciem musze po całej wsi się zgonić, aby je taniej kupić, a litkup gdzie, psi ryju?! — pytom cie sie, pieronie, litkup gdzie? — Litkup to gips!? — a opłata od rzeźni? a pasport dlo bydlęcia?! — a konsumat?! — a inksze firdygołki?! ha!!!! — O, ty ciastomisie saframencki!! — Doj se z miechów wytrzyć sadze i nie wypuszczój z nich pary, skoroś głupi jak but! *Proszę mi nie przerywać!* Miso musi być drogie, skoro życie jest drogie, bo rzeźnik też człowiek i musi żyć, więc a zatem (*łapie się za głowę*) Co jo to chciałem powiedzieć? Aha! kumotrze, znovaś mnie dziubliście, do jasnego pieruna! — A więc, a zatem... *Co jo to chciałem powiedzieć?* Aha! jeszcze mi ten tabak w sercu siedzi! — Szanowne obywatela i obywatelki! No-

rodzie! Czy to nie potrząso kuźdym człowiekiem, jak se wspomni, jaki tabak koże nom rząd kurzyć, i jakie cyny za niego płacić?! — Czy to nie cholera kiszka mi trzepie, jak powoniosz te śmierdziele, za takie grube pieniądze kupione?! — To na to człowiek płaci krwawicą swoją, żeby mu od tego smrodu wątroba puchła? — Jo stawiom wniosek nogły: Zgromadzynie nasze uchwolo wezwać rząd, aby sobie taki tabak som wykurzuł, a nom doł tabak prowdziwy po cynach, jak downiej bywało, inaczej wolno jest kuźdemu sobie go sioć bez żodnych kor i strofowanie norodu. — Tak! moi panowie! — Nie! nie! nie dosyć! bo jeszcze jeden gruby kawołek wyłożę. *Kumotrze! do cholery ciężkiej, trzymojcie mocniej ten parasol, bo jak Boga kochom, udrę wos w imbryk, i tele wom z tego prxydzie!* — Zaczkać! zaczkać! nie wiele tego powiem, ale co powiem, jest sprawa bardzo woźno i nie cierpiąco, telko uwożojcie! — Chcę mówić o tych saframenckich antonobilach, którymi panowie rozbijają się po gościńcach i rozjeżdżują nom koguty i kury, konie

i kobyły, a i często były wypodki, że człowieka zrobili kaliką na całe życie. — Do czego to podobne, że jak takim parlamentom, próżniokom, planetnikom zachce się wyścigować po drogach, to zaraz policyjo nie pozwoli spokojnemu człowiekowi przejechać czy przejść tamtędy, choćbyś w niedzielę iść chciał do kościoła na nabożeństwo. — Do bani olejowej z takimi porządkami! — Wsadzić im piórko do Dunaja! i niech się prześcigują luftem po pod niebo, ale nie po gościńcach, bo gościńce nie telko dło nich budowali! — *Proszę mi nie przerywać!* Więc azatem uchwołomy drugi nogły wniosek: — Te świdyrgoły, co se chcą rozbijać łby antomobilami i motołkami, niech se noprzodzi wybudują dło siebie nowe drogi, a od naszych im wara! (*do kumotra, zamierzając się*) Kumoter! bo wos pifnę! — Proszę mi nie przerywać. — Co? — odbierocie mi głos?! — Z jakiej racji?! — Kto godo trzy po trzy? — Jo? — A żeby wos pierony! — Co to znaczy: siadać! siadać!! — Dziękuję panom! Nie chce mi sie siadać. Dopierom siedzioł styrnoście dni za to,

żem niby sprzedawał miso wągrowate. — Tak! tak! — Tako sprawiedliwość na świecie. A czy jo to te wągry robiu? albo je som miół zjeść?! — Nie przerywać, do pierona, bo jo chcę jeszcze do ciebie, norodie, coś woźnego powiedzieć! — Co? nie?! uparliście sie? to całujcie mnie w nos! Nie? to nie! — Kumoter! zawrzyjcie parasol! — Idemy!

Panna Trzepaczanka.

(Typ małomiasteczkowej plotkarki.)

— Nie widzieli tu gdzie państwo mojej służącej z szkockim workiem na makę? — Nie? — To dziwne! Gdzie ta małupa poszła? — Uważcie państwo, całą godzinę siedzi, a ja czekam na nią i doczekać się nie mogę. — Te służki dzisiejsze to coś okropnego! Do grobu człowieka zaprowadzą. — Siądnę sobie na chwileczkę, bo tak jestem wzruszona, że tchu złapać nie mogę. (*siada*) Poszła z szkockim workiem,

no, i jak poszła — tak rozstap się ziemio — przepadła. — Żeby mi przynajmniej gdzieś tego worka nie zapodziała, bo to worek prawdziwie szkocki.

— Oj, Boże! Boże! Państwo sobie tu siedzicie, jak u Pana Boga za piecem. Milutko jak w raju. Tak! tak! niema to jak spokój, ale nie każdy może się tym pochwalić. — Słyszeliście też państwo o tej Różanowskiej? — Nie?! — Doprawdy? — A dyć to tak głośno o tem po mieście, (*tajemniczo, głos zniżając*) Ja tu państwu całą rzecz opowiem, tylko proszę trzymać język za zębami, bo ja nie lubię nikogo obmawiać. — Widzicie państwo, mąż jej się czegoś domyśla i wyłapał ją, jak z Fielikiem coś na uboczu szeptali. — Proszę państwa, jej mąż, taki mężczyzna przy stojny, dobry, no, i ładna pozycja w świecie. A ona — co? — Moja ciocia знаła ją, gdy była panną. Wychowywała się w drugiej kamienicy u jakiejś krewnej. — Koszuli całej na sobie nie miała. I ten człowiek poznał ją, zakochał się i ożenił. — Na prawa wtedy chodził jeszcze. — W jednej koszuli, proszę państwa. —

A dziś? — taka wdzięczność! — Jezus Marja! wierzyć się nie chce. — Zamiast mu się odwdziaczyć, dzisiaj z takim fir-cykiem romanse prowadzi. — Jak grali w karty, w preferansa, wychodziła z nim do drugiego pokoju, gdzie się nie świeciło. — On nie powiedział, tylko kartami rzucił i poszedł do okna. — Sodomie Gomora! (*bardzo dobrotliwie*) Ale co nam do tego. Nieprawda? — Ja nikogo nie lubię obmawiać ani wtrącać się w cudze rzeczy. — Powiada przysłowie: Nie wściubiaj nosa, gdzieś nie dał grosza! — Czy nie tak? — Jczełim co powiedziała, to wiem do kogo. Tak, tak. Dzisiaj świat na opak, i tylko przewrotność i obłuda popłaca, ale ja trzymam się swojego, choć mi z tem źle na świecie. Dzisiaj pierwsza z brzegu lafirynda ma więcej szczęścia, ale niech tam! w jej ślady nie pójde.

Taki inspektor to mnie sobie lekce-waży, ale nie długo tu jego panowania. — Panie wiedzą, jak w »Monitorze« go znów osmarowali? — A niech ta. Jakby był co godnego, toby o nim pisać nie mogli. Jak sobie pościelił, tak się i wyśpi. —

Skandal prawdziwy! — Poszedł na urlop i już nie wróci. — Tak, tak, proszę państwa! — Jakto? — to pani nie czytała »Monitora«? — Jezus Marja! — A niechże pani przeczyta. — U fryzjera jest numer. — Jak się z nim spotkam, to go pożyczę i pošlę paniom. — Warto przeczytać. — Wierszami go opisali. — Jest tam i o Mani blondynce, i o Stefce, Kazi i jakiejś Lalusi. — Co to za jedna ta ostatnia, to nie mam pojęcia. — Pytałam się tu i owdzie, ale nikt mi nie umiał wyjaśnić. — Taka jestem ciekawa, żebym Bóg wie co dała, aby się dowiedzieć, co to za jedna, i na nic. — Państwo nie wiedzą? — E, no juści — kądżeby? Panie takich to rzeczy nie ciekawe, tak, jak i ja. — Bo, jak to powiadają — najlepiej przed własnym progiem zamiatać. — Nic mi do tego i nie mam zwyczaju nikim się zajmować, ale ten człowiek niegodnie sobie ze mną postąpił; niech pokutuje. — Pan Bóg pomału chodzi, ale wszystkim dogodzi. — Sprawiedliwość musi być!

— Ten nowy inspektor, co przyjechał na zastępstwo, to całkiem inny człowiek. —

Byłam się przedstawić. — Podał mi krzesło, — a jakże, — krzesło mi podał, prosił siedzieć; bardzo grzecznie rozmawiał, — nie taki ordynus, jak ten Luterko. Jemu nawet nie do twarzy być inspektorem. — Prawie ostrogi i szabelkę przyprowadzić i umizgać się do dziewcząt. — To nie pedagog inspektor, ale czysty L u c y p e r z piekła!

— Ale co mi do tego. — Niech każdy patrzy swojego nosa. — Spotkałam w kurytarzu Starostwa tego Mioducha, czy Zaducha, i powiedzcie państwo — udał, że mnie nie poznaje! — Ani się nie uklonił, a przecież, jak siedział na ławce z Gadejską, to mnie przedstawiła. — Chłystek i, widać to zaraz, bez wychowania. — Został terminatorem na urzędnika przy Starostwie i we łbie mu się przewróciło. — Widać ma wróble pod kapeluszem, skoro go nie uchylił. — Strasznie dumna sztuka.

Widać, że głupi, bo to — jak mówi przysłowie — »nie widziała głowa słońca, ogorzała od miesiąca.« — Myśli, że ja dbam o jego ukłon! — Osiół jakiś! —

I co taka Gadejska w nim widzi? — Przecie się z nią nie ożeni. — Ona już starsza, a on smarkacz wobec niej. — Chudeusz, będzie »patrzył« posagu, a to panienka nie majątna. — Możeby ta dostała ładną wyprawę, ale co takiemu furfantowi — wyprawa! — Nieszczęśliwą by z nim była całe życie. — Ale co mi ta do tego; ja się nikim nie zajmuję.

— Boże! Boże! już siódma godzina! — jak to ten czas leci, a tej małupy jak niema, tak niema. Szkocki worek gotów mi gdzieś przepaść, skoro jej nie widać. — Te sługi dzisiejsze to torby sieczki nie warte. — Ot i u Różanowskiej — proszę pani — mieli tą Kaśkę z Krzyszkowic, trzeci rok; dziewczyna się przy nich oporządziła, a dziś taka wdzięczność! — Coś strasznego! — Jakto? — to panie nie wiedzą?! — Ona odeszła tydzień temu. — Różanowska jej sprzedawała kaftany, bluzeczki za bezcen, za bezcen, a ta szelma wszystko wyzdradziła i obgadała ją, jak chodziła z dyrektorem poza Rabę, i jak przesiadywał u niej po całych nocach, gdy mąż wyjechał na komisję. — No! skandal,

skandal prawdziwy! — Taż to głośno o tem w całych Kozłowicach. — I panie nie wiedziały? — Ale tak, tak. — Ta szelma narobiła wszystkiego, bo przed sługami obgadała Różanowską, te powtórzyły znowu swoim paniom, panie mężom, no, i siu — siu — siu — doszło wszystko do uszu męża, no, i sądny dzień był w domu. — Jezus! co się tam wtedy działo, to coś okropnego. — On krzyczał i ona krzyczała, potem on płakał i ona płakała, i dzieci płakały.

— Ale słyszały też panie: ta smar-kata, co chodzi do czwartej gimnazjalnej, zakochała się w katechecie. — No! — co powiecie, moje państwo? — i jak tu ma być dobrze na świecie? — Ta ona nie ma więcej skończonych jak czternaście lat! — Ja mówię: zły przykład! zły przykład! — Jaka matka, taka córka. — Smarkula! — Straszne rzeczy! straszne rzeczy!! — ale co mi tam do tego. — Ja nie mam zwyczaju nikim się zajmować. — Powiada: „nie kładź palca między drzwiami, to ci go nie przymkną.“ — Nieprawda, moje pa-

nie? — Najlepiej do niczego się nie wtrącać! o niczem nie wiedzieć! — Taka też jest moja zasada. (*bardzo dobrotliwie, składając nabożnie ręce*) Boże! Boże! Daj mi tak wytrwać w tem przedsięwzięciu do końca życia. — Do niczego się nie wtrącam, i z tem mi jest zupełnie dobrze.

— Któraż to godzina? — Ósma! — No, patrzcie państwo, a tej małupy jeszcze niema! — A boję się o mój worek szkocki, bo to teraz takiego samego nie dostanie. — Przepraszam! — wyjdę na dwór; może ta małupa się z kimś rozgadała, i jeszcze mi mój worek szkocki gdzie zagubi. — Przepraszam! przepraszam! do miłego zobaczenia się. Adieu! (*wypada jak kula, tocząc swą okrągłą peryferję*)

„Zdychający“ nieboraczek.

(Wchodzi na scenę bardzo otyły jegomość, typ śniadankiewicz, okrągłutki, rumiany, uśmiechnięty i kłania się bardzo uprzejmie, jakby witając kogo.)

— Moje uszanowanko! sługa pana dobrodzieja! do stópiczek się ścielę! —

jakże mi miło oglądać jego szanowne oblicze! — witam! witam a o zdrowie nie pytam, bo widzę, że w pełnym rozkwicie! Bardzo mi przyjemnie! bardzo! — Ktoby się spodziewał! — tak dawno pana dobrodzieja nie widziałem! — a jakże żoneczka? — a prawda! bo to pan dobrodziej jeszcze kawaler! — Tak, tak. Kawaler do wzięcia; i słusznie, słusznie. Poco się żenić i brać kłopot na głowę, kiedy bez tego można obejść się śmiało? Co? — nieprawda? — He! he! — filucik z pana dobrodzieja! filucik! — Ja? — jak się mam? — ta niby niegorzej wyglądam, proszę pana dobrodzieja, nieźle, nieźle, ale (*zníża głos*) prawdę powiedziawszy, człowiek tylko wegetuje, uważasz pan dobrodziej — powiedziałem: wegetuje, żyje z dnia na dzień, tak, zdycha, — jak Boga Kocham, — dobrze powiedziane: zdycha. — Miałem kilka nieszczęśliwych wypadków i nie mogę po nich przyjść do siebie. — Nabawiłem się niedokrewności. Doktor mi to powiedział. Uważasz pan dobrodziej, doktor nie belejaki. Był prymarjuszem u Łazarza. Tak, tak. Sklepik był, był,

to prawda, i bardzo ładny nawet, ale cóż, konkurencja, zawiść, — uważasz pan dobrodziej, — podcinanie egzystencji, musiało się w końcu skapać. To trudno, to trudno. Wyszedłem z tej afery z honorem, cało, ale bez grosza, tak, bez grosza. — A żona? — a cóż żona. Szyje i z tego się utrzymujemy. Tak, tak. Słusznie powiedziałem: zdycha się powoli, zdycha, choć broń Boże! — nie jest tak źle. — Ot! uważasz pan dobrodziej, (*wyjmuje papiery z głębokiej kieszeni na piersiach*) tu jest wyrok sądowy. Mam pretensję 600 zł. po ciotce w Makowie. Wyrok prawomocny. Lada dzień pieniądze wpłyną, i nawet za tym interesem tu przyjechałem, bo przypuszczałem, że tu zastanę Kownackiego, ale nieszczęście chciało — wyjechał w nocy i moje trudy na nic. Nawet mnie to w trudnem położeniu postawiło, bo korzystając z okazji, przysiadłem się i nie wziąłem więcej pieniędzy w podróż. Myślałem — uważasz pan dobrodziej — że tu Kownacki rachunek wyrówna. (*ciszej*) Jeżeliby pan dobrodziej był tak łaskaw i chciał mi pomóc, (*jeszcze ciszej*) to prosiłbym o małą

zaliczkę. (*prędko*) Proszę się nie lękać! — nie chcę dużo. Nie pięćset, nie czterysta, nie dwieście, nie sto, tylko tak coś... coś... póki wyroku nie wyekzekwuję. — Oddam, wszystko oddam, — słowo honoru daję, — tylko wrócę do domu, bo tu nie mam nikogo znajomego, a — prawdę powiedziawszy — nie chcę się nikogo prosić. Człęk musi mieć zawsze swoją ambicję. — Jeżeli do pana dobrodzieja zwracam się z tem, to dlatego, że się znamy oddawna.

— Pamięta pan dobrodziej dawne czasy u Hawełki, Wenzla, Miki, Kosza... ha! ha! śniadankowało się, śniadankowało, bo było za co. — Dziś co?... bryndza majowa!

— Jak pan dobrodziej widzi, zdycha się powoli, zdycha i tyle. Niby kadłub potężny, myślałby kto Bóg wie co, a to wszystko z lepszych czasów; człowiek dobrze zakonserwowany, ot... rodzinne i nie więcej. — Pan dobrodziej zna mego brata, księdza? — Podobnie gruby jak ja. — Ot! rodzinne. — Moja matka też czasem była gruba, w młodszych latach.

— Co? — ksiądz? — Phi! proszę pana dobrodzieja, co tu gadać. Ksiądz każ-

den kutwa. Dawał i dawał, w końcu przestał, bo się gniewa na mnie. Nieporozumienia familijne, nic więcej. Popsztykaliśmy się, — jak w familji. Kilka razy wyprułem mu „Pater noster“, bo ja lubię każdemu powiedzieć prawdę w oczy, no, i — uważasz pan dobrodziej — zgniewał się. Napisał mi: „kiedyś taki krytyk, to bądź zdrów!“ — Niby krytyk jestem, bom w krytycznem położeniu, chociaż tak źle znowu nie jest. Ot! (*klepie się po kieszeni*) wyroczek jest, a po śmierci ciotki też coś kapnie. Książd brat też wszystkiego nie zje. Niechby kłapnął, sukcesyjka będzie, więc obawy niema, i gdyby pan dobrodziej był łaskaw przyjść mi z pomocą, — słowo honoru daję, — grajcar jeden nie zginie. — Nie dużo, nie dużo... nie paręset, nie trzysta, ani sto, tak coś... coś, aby powrócić do domu, do żony, do rodziny. Dalibóg zaraz wszystko z podziękowaniem odeślę. — Gdzie pan dobrodziej mieszka? — chętnie — bym go odwiedził.

— Pan już jadł obiad? — papierosika nie ma pod ręką? — co? — nie pali? — cóż za abstynent! — A może pójdziemy

przed obiadem na jednego? — co? — i nie pije? — A toż co? — Nie jedzący, nie pijący, nie palący, a może i dziewczyny nie kochający? — He! he! — co?! — Kuty z pana dobrodzieja samiec, kuty. — Bo to kawaler. Ho! ho! ja wiem, bo to i ja byłem niegdyś kawalerem. — Teraz kaput. Teraz się zdycha, powoli zdycha się. — Fortunka fiut! zdrowieczko fiut! — Jaki ja miałem żołądek! — Kamieniem trawił, a teraz co? — Przeszedłem zapalenie ślepej kiszki. Tak, tak. Uważasz pan dobrodziej, na pewnych imieninach — przez zapomnienie — zjadłem zapalonego papierosa, no, i widać, musiała mi się ślepa kiszka od niego zapalić. Doktor ją wy-macał. — Po zapaleniu — niedokrewność.

— Cóż, ślepa kiszko! — te, dobrodzieju kochany! — Dostanę o co proszę? — uważ pan dobrodziej! Nie mam tu nikogo znajomego. W krytycznem położeniu się znalazłem. Kownacki mnie zawiódł. — Gdzie pan mieszka? — możebym się mógł przemocować? — bądź gdzie! bądź gdzie! — bodaj na gołej podłodze. Ja nie organista,

nie przebieram. — Więc dobrze, dobrze, — Mogę liczyć? mogę?

— Bój się Boga — dobrodzieju, — nie chcę wiele! Nie pięćset, nie dwieście, ani sto, lub pięćdziesiąt. Wystarczy choćby trzydzieści złotych. — Co? nie? — no, to choć i dziesiąteczkę. — Panie dobrodzieju, — jak Boga kocham — nie ustąpię. — Przecie mi z głodu tutaj zdechnąć nie pozwolisz. — Dajże asan choć pięć złotych! No! — to... złotego! niech djabli wezmą! — Piechotą pójdę do Krakowa, byle co zjeść po drodze, bo człowiek wprost zdycha z głodu i z pragnienia, które po zapaleniu przeszło w mych kiszkiach w stan chroniczny. (*jakby chował otrzymany pieniądz do kieszonki w kamizelce*) Co też to z dobrodzieja za sknera! strach! — Dziękuję! dziękuję! — Mam interes jeszcze do proboszcza. — Tu podobno mieszka i pan Padlikowski? ten, co w Chrzanowie miał interes z żelazem. — Znaliśmy się. Muszę go odwiedzić po drodze! — No, do widzenia! nie zabieram panu drogiego czasu! — Bądź pan zdrow i miej mnie w miłej pamięci! Adieu! adieu! (*odchodzi*)

Nieszczęścia pani Fajgli.

(Na scenę wchodzi handlarka, w ubraniu postrzępionem, zgarblona we troje i poczyną rozmawiać.)

— Dzień dobry, kochane państwo! —
 Mozie mocze jakie skórki do spsiedawania, z zająców abo królików, abo jenksze wiktuałów? — Jo tak downo nie miałam ścięńście u państwa cosz kupowacz.

— Nie? — a no, to trudno. Jakbi co buło, prosię o biednej Fajgli nie zapominać.

— Skąd ja idę? — Ojch! — niech sze państwo lepiej tego nie pita. — Jo jestem jakbi połamano, rozbito, pognieczenio na kwaszne jabko. — Jo nie żice pśesom takie niścięńście, co mnie sze przytrafiało. Jo juz ledwie co dychom, a tako jestem choro i witrzësono co strach!

— Państwo sze pito, co my sze przytrefiło? — Ojch! tego na wołowe skóry by nie zapysoł. Jo zaroz państwo powiem, tilko sze musze trocha odsapnąć. (*siada, ocierając rękawem twarz*)

— (*po chwili*) Jo bułam teroz u doktorza po szfiadectwo chorości, bo kcę wi-

robicz sobie paśportu do Berlina, albowiem ponieważ iż slišałam, co tam bidny zrality dostają różne wspomozienie, a że teraz ocimanie paśportów wipado bardzo drogo, to jo starom sze o takie szfiadectwo, abi dostacz paśportu ulgowego do Karlsbadu na kuracje. No, i bułam u doktorza, i co powie — kochane państwo: nie koziół mi widawacz tego szfiadectwo. — Powiedział, co jo jestem dosycz zdrowo i wistarcze dło mnie iszcz do mikwy, ale nie jachać za granicy.

Ziebi jego wątroba spuchniała! Na to powidzenie jo sze roztrzęsałam jak machszyna i mówie do niego: — Jaktó pan doktoru! to mnie nie wolno chorowacz za granice i mom bicz zdrowo? — a nie wydźoł pon doktórz na moje czało te czyrwony płamy? co? — Dopiero un powiada, że ty płamy to są od pchli, co mnie pokaszali! — Taki dokturz! — Ziebi jego całe zicie tak pchli gryźli!

— Po te słowo, to jo mu tele nago-
dałam za to nojgrowanie sze z bidny kubit, zie miszlałam, zie go tam ślag trafi. — Bo — prosie kochane państwo —

jako mozie bicz, żeby taki doktorz bidny wdowy wimęczał na kanape psiez pół godziny; wipitywoł sze o wsistko od urodzynio szwiata, wigniółł ją na wsistkie sposoby, jak zgniły citriny, wkładał swój nos do kuźdy dżury, i potim powiedział: cziebie nie nie brakuje, tilko tobie pchli pogryźli.

— Jo od tego nie ustapie, — powiedziałam, — jo jestem choro aż okropa na moje wnętrznoszczy, musie picz wody karlsbackie i wikapacz czało za granicą, i nie ustapiałam. — No! i un doł mi tego szfiadectwo.

— Ale to jeście — prosię państwo — nie wsistko. — Co te ludzie teraz wimiszlają, to skończenie szwiatu na oba końcy. — Jo muszałam jeście psinieszcz szfiadectwo od podatkový kasy, i od izbe skarbowe, i od pon komysarzia z policyje, i od pana Magistrata, i od szczypinio ospy, i od zbór zralicky, i od akusierki, a co stemplów, tyrpanio, godanio, pitanio, posylanio, poczekiwanio, chodzenio, to szlowikowi duszia z ramieniów wilażi. — I jo tak laziłam całego tygodnia po tego, na-

reszcie, jak o to wsistko sze postarałam, i przynoszałam do pana Starostfa, to mi dopiro kozali wnieszcz proszby znouw do pana woziwody, i znouw dawacz różne stempli, i ciekacz do koniec szfiata.

— Ojch! powiadam kochane państwo, jaki ten szfiat jest dżyszaj, to nie warto żić. Tego downi nie buwało.

— Mój Bozie! jaki jo miałaam szlieny ynterys, jaki majątek; niech sze dżyszaj schowo taki Orzychowic, abo Gułdenfresser, abo nawet som Afterduft. Ale niszczęńscia chczało, zie mi sze spoliła siusiarnie, i wsistko, co buło we szrodku.

— Kochane państwo pita, cy mom ziecki? — dloczego nie?! Jedny córke wi-chodżała za męża do Wadywice, gdzie prowadży butowy ynteresy, a drugo po-jechała niedowno do Ameryki siukać szczęńscie, bo tu sze jej nic formalnego nie przitrafiało.

— A jakże — kochany państwo, — jest i syn, co chodży do gumnazyje, ale ten także nie mo szczęńscie. Belfry jego okropnie sekują.

Uważcie kochany państwo, co uny z nim wiprowiają. Bedży dwie-trzi tygodnie te-

go, jedyn taki prefesur, co mo na niego zawziątke, napod mój syn w jedyn dzień i krzyci do niego: „Powidz mi, Beriś, kto napysał „Pana Tadeusiowego“? — Mój syn stracił mowe. Jako ziwo nn nie takiego nigdy nie pysoł. Jo moge na to zaprzysięgnąć, jo jego znam. Un mo taki delikatny serce, coby kury nie zazion. Gdźeby un wypisował cosz takigo? Za ziodne pijadze. Więc un szie zaraz submituje: „panie prefesur! jak Pon Boga kochom, jo tego nie robiąłem i nie wim, kto tego napysał“. Tak dopiro ten prefesur zacion tupicz nogamy, wizywacz mój sin, zie jest oszoł, cymboły, i zie go wirziuci z gumnazyje. — Dopiro syn przichodzał po ty awantury do miszkanio i płacze, i płacze, miszlałam, zie mu sze ze załoszczy aż coszik zrobi. — Więc a zatem, jako matka, troskliwie o swoje źeczko, zarziucałam spódnicy na swoje osoby i poleczałam do tego pan prefesura i zaklinom jego, cobi nie robiuł dlo siną tej przikroszczy, i nie wirziucoł go z klasy, bo sze uci okropnie po całe nocy, i pylnuje książki, i taki jest do tej nauki jak miód. — Ociwiście nie próżny ręki zaniesłam, ale pogodałam w kuch



ni z jego zione, tak un dopiro sze udo-
bruchnuł, i powiada mi, zie sin na zapi-
tanie powiedział jego, zie nie un napysał
tego jakiegoszyk „Pana Tadeusiowego“. —
Ale jo zacinam tego persfadowacz, proszycz
za niego, zieby sinowi darował, zie un taki
nerwus jest, mozie un to zיעiwiścze nie-
chcący napysał, i zapominoł, ale nie kczoł
pan prefesur obrażycz, zacinam zagodowacz
do jego serce i do zione, i do głowe, zie
psiecio doł spokój. — Więc nakoniec, jak mi sze
rozlazili, mówie doniego: „mój złoty panie pre-
fesur! a mozie un to zיעiwiścze i nie napisoł?
Un taki jeszcze mały jest i pewnie kto inszy
napysał i zložul na niego. Teroz tele huncfoty
i lumpacyje na szwiecie“. — Tak un sze zacion
jescie bardzi śmioć, i klepnuł mnie po ramienie,
i fertig. Odtąd doł spokój mój sin Beriś, ale za
to znów drugi sze zawzion do niego.

— To buło tak: — Ale mozie jo ko-
chane państwo zabirom ciasu?! — Nie?
a więc, azatem: ktosz wybijał szibe u okna
pana prefesura matmatyki! Jakiś lofer
naturalnie!! Państwo wie, że tego nie
brakuje; a akuratnie niszczęńście kczalo,
zie mój sin woncias kole jego domowi
psielatował. No! i uważcie kochane państwo

ten pan prefesur wilecził z doma, wydźy, zie mój sin leczy, ta i un leczy za nim. Mój sin to taki nerwus jest, zie jego dokturz kozoł miecz ruch, gonicz il możnoszczy, cobi miol duzi luft, więc un wtedy goniul. — Co ten prefesur bardzi leczył, to mój sin też bardzi goniał, a to już czemno buło, więc natrafiul na jakiesz coszik, i psiekopyrtnul sze na drudze. No, i ten prefesur łap go za usi: „Ty huncfot! dlociego ti wybijałesz moje okno?!”

— Psieproszom pan prefesura — jako zicie — jo tego nie zrobiałem.

— A dlociego ti uczykałysz?

— Jo nie uczykałym. Mnie dokturz kozoł prędko gonicz, bo jo jestem nerwus.

— A dlociego ti nie stawalesz, jak ja za ciebie kściał i goniał?

— Bo jo miszlałem, zie pon prefesur jest tyż nerwus i dokturz kozoł jego tak-zie gonicz prędko.

— Slowo do slowo, wsistko sze wyjasniało, i ten prefesur doł Berisiowi spokoja, ale co jego to zdrowia kosztowało, to niedo sze wirachowacz. Tak, moje kochany państfo!

— Ojch! Bozie! Bozie! ziebi un już roz ukończał tego gumnazyje i wiuczał

sze na bankiera, tobi potym wijeżdżoł do Amryki i zacion mi posilacz dulary. — Zarozbi szlowikowi buło lekceji żić na szwieczcie.

— Tilko sze okropnie bojam, coby un sie w moźiu nie utopiał. Un jest taki nerwus! — Jak bedą jechacz, to un nie witrzimo i bedzie sze patrzył do moźia. Gotowy wpaszcz! — Ale jo miszle napysacz do córki, co jest takzie w Amryku, — *(jak sze to miasto naxywo? — zarox państfu powiem, aha! aha! — tak, jak tyn gorol z Tencina, co drxiewem hangluje, — zarox! zarox! — już go mom na jęziku, — aha! Kutriba! ja! richtig! Kutriba!)* Una miszko w Kutryba, co jest zarox za Brazelią, w Amryce, tak niby, jak Zabłoczcie za Żiwcem, — to una mozie wijszcz psied niego, i bedzie go opikowała.

— Kochane państfo sze pita, dlaciego ta córke mi nie posilo dulary? — A i owsiem; posilała pore razy, telko una tyz jest nerwus, i mo taki delkatny zdrowie, jak mi wsistkie we familije, przez co zachorziała, i nie mozie posilacz.

— Una — kochane państfo — mo bardzo fajną posade. Una jest urzędnik przy takim domku na plantach w tego

miasto, co sze tak naziwo, jak tyn gorol od Tencina, zaroz za Brazelije. Juziem mówiła: Kutryba! tak, Kutryba! — Tilko una jest przizwiczajono do innego luftu, i jak buła na posady w takie pawylonu, co jest dlo damóf, niby... dlo nos kubitóf, to do swoje pierszy dostała taką choroszcz, co nie mogła dichacz. — Więc pochodżała zaroz do doktorza i ten jej kozoł zmienicz powieczy. Zmienić luft! — Więc una z pawylonu dlo damóf zmieniała posade do pawylonu dlo mężczyznóf, i zaroz sze jej polepsiło, ale jeszcze czerpi na swoje pierszy, i nie mozie posilacz dulary.

— Ojch! Kochane państwo! mało co brakuje, a una jużbi buła robiła wielgie szcienście w tego Amryka. Jej sze trafiło wichodziez za mężia, co buł takim oufzerem na wsistkie tego pawylony, ale ni-szcienście! — un miół koniec bardzo brzički. — Bardzo brzički! — Un — ochane państwo — utopiał sze przy ciścienie dołu zapelnionego fetorami. — Jego ciągnyli i bułby mozie żił, ale uwydżoł oje pirsie ziony, co keziół z nią rozvodu acz, i zaroz dostał konwilsyje od tege ydoki i umrzul.

— Jo tego nie powydżałam — kochane państwo — od razu? Tak! tak! un bulżyniaty, ale w moje córke tak szie zakochiwoł, ziebi szie dło niej z dżeszęczima zionami rozwodzał, a nie dupiro z jedną.

— Ale jo musię już pojszcz. Mi szie bardzo spieszi, bo musie w doma gotowacz podwieciorek. — Do myłego wydżymysze!

— Prosie nie zapominacz o skórkach dło Fajgeli od zajęców i królikowy. Jo wszistko kupowam! Adyje! Pa! *(po chwili wracając od drzewi, z tajemniczą miną)* Jo nie wycimom i na ostatek powim kochane państwo w sekretu cosz, cosz, tilko — pod hajrem — prosie pary z gębi ani troški nie wipuszczycz! *(po cichu)*

— Tego „Pana Tadeusiowego” napysoł i tego okno od pon prefesur matmatyki rozbijoł mój sin Beriś. Telko — czycho! sza! — Prosię tego nikogo nie wspominaacz! — Un mo kepele! — co?! — Un sze nie zdradzał! — Psi tego rozumu un. muszi bicz w Amryce bankierem!

— Jeście roz prosie o sekretu docimanie. Adju! Pa!



TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

- Urzeczona.** (Biblioteka powszechna.) Złoczów 1892.
- Figowe liście.** Lwów 1892 (skonfiskowane).
- Pan Burmistrz z Wielkich Kozłowic.** Krotchwila w 2 akt. Poznań 1926 (II wyd.)
- Monologi.** Zeszyt I i II 1915 (II wyd.) III i IV 1916 (II wyd.) V (II wyd.) VI 1928 Poznań.
- Baraszk.** Garść zabawnych facecji i żartów. Poznań 1910.
- Kwiat paproci.** Obrazek ludowy ze śpiewami i tańcami. Lwów 1916.
- Krajowe wyroby.** Krotchwila w 3 aktach. Lwów 1910.
- Zrękowiny u Druzgały.** Obrazek ludowy ze śpiewami. Lwów 1920 (II wyd.)
- Pan Grajcarek idzie w kumy.** Obrazek ludowy ze śpiewami. Lwów 1920 (II wyd.)
- Lustracja u pana wójta.** Obrazek ludowy ze śpiewami. Lwów 1920 (II wyd.)
- Jagusia płacze, śmieje się Jaś.** Operetka tłum. Lwów 1921.
- Nasi jada!** Epizod z r. 1809. Lwów 1921 (II wyd.)
- W gospodzie „Pod sroka“.** Obrazek ludowy ze śpiewami i tańcami. Lwów 1922 (II wyd.)
- Kukusia podlotkłem.** Farsa. Warszawa 1922.

Biblioteka Śląska

168565

I

VII

Kozłowiec

Warszawa

Monolog

„Gdzie

ciężko

Wiosną

wami i tańcami. Lwów 1923.

Dziwna przygoda. Obrazki i nowele. Przemysł 1925.

Ofensywa zalotników. Obrazek ludowy ze śpiewami i tańcami w 2 akt. Lwów 1926.

Pod obuchem pruskim. Obrazek z niedalekiej przeszłości. Poznań 1927.

W PRZYGOTOWANIU:

Monologi. Serja VII.

Zakładajmy spółdzielnie! Obrazek ludowy ze śpiewami.

„Cudok“. Obrazek ludowy. (Ciąg dalszy „Zrękowin u Druzgały“.)

Przewoziny. Obrazek ludowy.

Z turoniem. Obrazek ludowy.

Mamuty. Farsa w 3 aktach.

Śmiech na sali. Humoreski premjowane na konkursach.

Piosnka pana Fortunata. Operetka 1 a. tom.

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000615260



I 168565/7